

# HARPUN CZARNEGO PIOTRA

---

Nie przypominam sobie, aby mój przyjaciel znajdował się kiedykolwiek w lepszej formie tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym niż w 1895 roku. Rosnącej jego sławie towarzyszyła ogromna praktyka. Meraz różne znakomitości przekraczały skromne progi naszego domu przy Baker Street. Niestety, nie mogą wymienić ich nazwisk.

Dyskrecja przede wszystkim...

Holmes jednak postępował jak wszyscy wielcy artyści. Żył dla sztuki. Nigdy nie żądał wysokiego honorarium za swe bezcenne usługi. Jedyne wyjątek, jaki znam, stanowiła sprawa księcia Holderness. Wydaje mi się, że Sherlock był pod tym względem nieobliczalny, lub też trochę kapryśny. Nieraz odmawiał pomocy bogatym i wpływowym osobistościom, o ile sprawa nie budziła w nim zainteresowania. Potrafił natomiast zajmować się sprawami ludzi biednych, jeśli tylko posiadały one posmak niecodzienności i obfitowały w spięcia dramatyczne. Takie wypadki pobudzały dopiero jego wyobraźnię, i prowokowały do działania.

A właśnie rok 1895 obfitował w dziwne i zawikłane wypadki, które oczywiście zainteresowały Holmesa. Cała seria, wydarzeń! Zaczęło się od dochodzenia w głośniejszej sprawie nagłego zgonu kardynała Tosea. Holmes prowadził je na specjalne życzenie papieża. Przyniosło mu to wielki rozgłos i sławę. Pasma ciekawych wypadków zamykało aresztowanie Wilsona, znanego hodowcy kanarków. Uwolniło ono mieszkańców londyńskiej dzielnicy East End od wielkiej plagi. Oprócz tych dwu głośniejszych spraw na szczególną uwagę

zasługuje tragedia w Woodman's Lee i śmierć kapitana Piotra Careya, która nastąpiła w okolicznościach pełnych tajemniczości i grozy. Listy sukcesów Sherlocka nie można by uważać za zamkniętą bez uwzględnienia szczegółów tego tak niezwykłego wypadku.

W pierwszych dniach lipca mój przyjaciel bardzo często i na długo opuszczał nasze mieszkanie. Wiedziałem już co to oznacza. Oczywiście pochłonęła go jakaś nowa sprawa. Wielu ludzi o bardzo podejrzanym wyglądzie zaczęło rozpytywać i szukać kapitana Basila. Holmes działał pod jednym ze swych licznych przybranych nazwisk, przebrany za kapitana. Pod tą postacią mógł zatracić swój groźny wygląd i zmylić przeciwnika. Dysponował on co najmniej pięciu małymi schowkami w różnych dzielnicach Londynu. Dzięki temu zmiana wyglądu nie nastroczała żadnych, trudności.

Nic mi nie mówił o tej sprawie, a ja nie mam zwyczaju wdzierać się w cudze tajemnice. Za to pierwsza informacja, jakiej mi udzielił o prowadzonym dochodzeniu, była niezwykła. Przyszedł z miasta przed śniadaniem. Byłem u siebie. Wszedł do pokoju w kapeluszu na głowie i z ogromną, dzidą pod pachą.

— No wiesz, Holmesie...! — zawołałem. — Chyba nie chodziłeś z tym oszczepem po Londynie?!

— Owszem! Pojechałem do rzeźnika i z powrotem.

— Do rzeźnika?

— Mam wspaniały apetyt. Mój drogi Watsonie, trochę gimnastyki przed śniadaniem każdemu bardzo dobrze zrobi!. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jednak trzymam zakład, że nie zgadniesz, co to były za ćwiczenia.

— Nawet nie będę próbował. Wypił kawę i odchrząknął.

— Gdybyś zajrzał do tylnych pomieszczeń w sklepie Allardyce’a, to byś zobaczył jak pewien dżentelmen, podwiązawszy rękawy koszuli, dźgał z furią tym oto „narzędziem” zabitą świnie, zawieszoną, na haku pod sufitem. To ja byłem tym energicznym osobnikiem. Z zadowoleniem stwierdziłem, że bez większego wysiłku potrafię jednym pchnięciem przeszyć świnie na wylot. A może i ty chciałbyś spróbować?

— W żadnym wypadku. Ale dlaczego ty to robisz?

— Ponieważ, zdaje mi się, miało to pośrednie znaczenie dla tajemniczej sprawy Woodman’s Lee. Ale oto Hopkins. Tej nocy otrzymałem pański telegram. Właśnie czekam na pana. Prosimy do nas. Niech pan siada!

Gościem naszym był bardzo ruchliwy, mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Miał na sobie garnitur samodziąłowy w spokojnym kolorze. Trzymał się bardzo prosto. Świadczyło to, iż przywykł do munduru. Od razu zorientowałem się. Przecież to Stanley Hopkins, młody inspektor policji. Holmes przepowiadał mu wielką przyszłość. On zaś uwielbiał doskonałego detektywa i żywił wielki szacunek dla jego słynnej metody naukowej.

Inspektor wyglądał na zmartwionego i przygnębionego. Usiadł ciężko i westchnął.

— Nie, dziękuję panu, sir, jadłem już śniadanie, zanim tu przybyłem. Noc spędziłem w mieście. Przyjechałem wczoraj złożyć raport.

— No i jak wypadł ten raport?

— Fiasko, sir! Całkowite fiasko!

— Nie posunął pan sprawy naprzód?

— Ani trochę.

— Mój drogi, muszę się przyjrzeć tej historii.

— Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby pan zechciał, Mr Holmes. Przecież to moja pierwsza wielka szansa życiowa. A niestety, grozi mi porażka. Dla dobra sprawy niech pan mi pomoże!

— Dobrze, dobrze. Tak się właśnie szczęśliwie składa, że zdążyłem się już przedtem zapoznać dokładnie z aktami sprawy łącznie z protokołem śledztwa. Co pan na przykład myśli o znalezionym na miejscu zbrodni kapciuchu z tytoniem? Czy przypadkiem nie stanowi on klucza do rozwiązania zagadki?

W spojrzeniu Hopkinsa malowało się zdumienie.

— Ale to był przecież jego własny kapciuch. Wewnątrz znajdują się nawet inicjały, wyciśnięte na foczej skórze, z której go wykonano. Właściciel tajemniczego kapciucha był bowiem doświadczonym łowcą fok.

— A jednak nie posiadał on fajki.

— Rzeczywiście, sir. Nie możemy jej znaleźć. Palił on bardzo mało. Mógł jednak mieć u siebie tytoń dla przyjaciół.

— Oczywiście. Wspomniałem o tym z innego zresztą powodu. Jeślibym miał zająć się tą sprawą, to — moim zdaniem — należałoby rozpocząć dochodzenia właśnie od tego punktu. Ale mój przyjaciel, dr Watson, nie ma najmniejszego pojęcia o całej tej historii, a ja również nic nie stracę, skoro ponownie ją usłyszę. Niech więc nam pan opowie pokrótce przebieg wypadków.

— Najpierw kilka danych personalnych, dotyczących kapitana Piotra Careya. Urodził się w roku 1845; miał więc 50 lat. Cieszył się opinią śmiałego marynarza i wielorybnika. Sprzyjało mu przy tym szczęście. W roku 1883 został kapitanem statku „Sea Unicorn”, parowca z Dundee. Odbił na nim wówczas kilka bardzo pomyślnych rejsów, lecz już w następnym roku, 1884, porzucił tę służbę! Następnie

podróżował jeszcze przez kilka lat, aż wreszcie kupił niewielką posiadłość zwaną Woodman's Lee, w pobliżu Forest Row w hrabstwie Sussex. Osiedlił się tu przed sześciu laty i zamieszkiwał aż do śmierci, która zabrała go tydzień temu. Warto zwrócić uwagę na pewne cechy charakteru tego człowieka. Są to interesujące i znamienne szczegóły. Carey był w codziennym życiu surowym purytaninem, człowiekiem milczącym i ponurym. Razem z nim mieszkała żona, dwudziestoletnia córka i dwie służące. Życie nie było tam wesołe a czasami nawet pobyt w tym domu stawał się wprost nie do zniesienia. Dlatego też służba wciąż się zmieniała. Od czasu do czasu pił na umór. Wówczas stawał się wprost wcielonym diabłem. Potrafił na przykład bez najmniejszego powodu, wśród nocy, wyrwać żonę i córkę ze snu i wypędzić na dwór. Gonił je następnie po całym parku, chłostząc niemiłosiernie, dopóki nie przybiegli ludzie z sąsiedniej wsi zbudzeni ich krzykami.

Tego było już za wiele. Stary proboszcz wezwał go wreszcie i surowo zabronił takich dzikich wybryków. Krótko mówiąc, Mr Holmes, musiałby pan długo szukać, zanim by pan znalazł niebezpieczniejszego człowieka od Piotra Careya. A słyszałem nawet, że w podobnym stanie dowodził również statkiem. Wśród marynarzy znany był jako „Czarny Piotr”. Wyróżniał się śniadą, ogorzałą cerą i wielką brodą, czarną jak smoła. Nie tylko jednak wygląd zjednał mu to przezwisko. Właściwą przyczyną było raczej usposobienie Careya, który stwarzał dokoła atmosferę strachu i grozy. Dlatego też wszyscy sąsiedzi nienawidzili go i unikali. A nawet, gdy spotkała go tak okropna śmierć, nie usłyszałem od nikogo jednego słowa żalu. Czytał pan akta śledztwa, Mr Holmes. Wie pan zatem o tzw. „kajucie”. Być może jednak, pański przyjaciel nie słyszał o niej.

Kapitan wybudował sobie małą drewnianą chatkę o kilkaset jardów od domu. Odtąd tam zawsze tylko sypiał. Było to niewielkie, jednoizbowe pomieszczenie o rozmiarach 16 na 10 stóp. Nazywał je „kajutą”. Klucz do niego nosił Carey zawsze przy sobie i nie dopuszczał tam nikogo. Sam nawet sprzątał i słał łóżko. Małych okienek, zasłoniętych firankami nigdy nie otwierano. Jedno z nich wychodziło na szosę. Kiedy więc w „kajucie” płonęło światło, nie uchodziło to uwadze ludzkiej. Nieraz mówiono na ten temat w okolicy i zastanawiano się, co właściwie „Czarny Piotr” może tam robić całymi nocami. Właśnie to okno dostarczyło nam jednego z niewielu dowodów istotnych dla śledztwa. Otóż kamieniarz nazwiskiem Slater — jak pan; sobie przypomina — dwa dni przed morderstwem przechodził tamtędy koło pierwszej w nocy, idąc z Fores Row. Mijając posiadłość Careya zatrzymał się. Wzrok jego przyciągnęła bowiem jasna plama światła migająca pomiędzy drzewami. Kamieniarz ten zaklina się, iż dokładnie widział na firance cień głowy człowieka z profilu. Nie był to jednak z całą pewnością cień Piotra Careya, którego dobrze znał. Cień przedstawiał człowieka z krótką brodą, sterczącą ku przodowi, zupełnie inną niż broda kapitana. Tak zeznał świadek. Ale przedtem spędził dwie godziny w karczmie, a ponadto od drogi do okienka „kajuty” jest dosyć daleko. Wreszcie relacja jego dotyczy poniedziałku, gdy tymczasem zbrodni dokonano we środę.

We wtorek Piotr Carey był w okropnym stanie. Pił na umór. Włóczył się wokół domu niczym groźna, dzika bestia. Kobiety uciekały w popłochu, słysząc jego kroki. Wieczorem udał się do swej chatki. Koło godziny drugiej w nocy rozdzierający krzyk od strony „kajuty” zbudził córkę kapitana, która spała przy otwartym oknie. Nie zwróciła jednak na to większej

uwagi. Ojciec po pijanemu bardzo często przecież krzyczał i hałasował. Dopiero o siódmej nad ranem jedna ze służących zauważyła ze zdumieniem, iż drzwi chatki są otwarte. Carey jednak budził taki postrach, że dopiero koło południa odważyła się tam zaglądnąć. Zerknęła nieśmiało przez uchylone drzwi, lecz natychmiast cofnęła się przerażona i uciekła w popłochu do wioski. W ciągu godziny byłem na miejscu i rozpocząłem dochodzenie. Wie pan, Mr Holmes, że mam mocne nerwy. Ale daję słowo — w pierwszej chwili, gdy zjrzałem do małego domku, doznałem po prostu wstrząsu. Wewnątrz krążyły roje wielkich niebieskich much, które napełniały pawilon natrętnym brzęczeniem. Podłoga i ściany były zbryzgane krwią. Po prostu... rzeźnia.

Carey nazwał tę chatkę „kajutą”, i słusznie, gdyż miała ona wygląd kajuty okrętowej. Znajdowały się tam: koja, skrzynia marynarska, mapy i plany, obraz „Sea Unicorn” oraz rząd dzienników okrętowych na półce. Słowem wszystko, co można zazwyczaj spotkać w pomieszczeniu kapitana statku. Wewnątrz ujrzałem Careya. Twarz wykrzywiał mu straszliwy grymas, a wielka potargana broda sterczała w górę, podniesiona widocznie w trakcie agonii. Harpun przebił go na wylot. Ostrze przeszło z prawej strony przez szeroką klatkę piersiową i utkwilo głęboko w drewnianej ścianie. Był już martwy. Rozdzierający krzyk, jaki wydał w agonii, był jego ostatnim tchnieniem. Z tą chwilą zakończył życie.

Znam pańskie metody, sir, i oczywiście zastosowałem je. Nie pozwoliłem niczego ruszać. Zbadałem piędź po piędzi ziemię dokoła „kajuty” a następnie podłogę domku. Nie było żadnych śladów.

— ...Powiedzmy raczej, żadnych pan nie zauważył?

— Ależ zapewniam pana, iż nie było żadnych!

— Mój drogi panie Hopkins! Miałem do czynienia z niejedną już zbrodnią. Nigdy jednak nie słyszałem o morderstwie dokonanym przez unoszącego się powietrzu ducha. Skoro więc zbrodniarz chodzi po ziemi, to musi pozostawiać po sobie jakieś odciski i ślady. Czasami zadraśnie nieznacznie jakiś przedmiot lub przesunie go. Wszystko to może odkryć zdolny detektyw. Trudno wprost uwierzyć, aby bryzgi krwi na ścianach i podłodze nie zawierały niczego, co mogłoby stać się dla nas wskazówką. Widzę z przebiegu śledztwa, iż przeoczył pan kilka szczegółów.

Młody inspektor milczał chwilę po ironicznych uwagach mego przyjaciela.

— Źle postąpiłem, Mr Holmes, że od razu pana nie poprosiłem. Czynię to więc teraz. Rozwój wypadków dowiódł, iż nie poradzimy sobie bez pana pomocy. Otóż w „kajucie” kilka przedmiotów specjalnie mnie zainteresowało. Jednym z nich był harpun, którym dokonano zbrodni. Morderca zerwał go widać ze ściany. Dwa inne harpuny bowiem wiszą nadal, natomiast miejsce na trzeci świeci pustką. Na trzonku jest wyryty napis: S. S. Sea Unicorn, Dundee. Czego to wszystko dowodzi? Chyba tego, iż morderca zabił Careya pod wpływem ataku furii. Chwycił bowiem pierwszą lepszą broń, jaką znalazł pod ręką. Kapitan prawdopodobnie umówił się z nim w nocy na spotkanie. Świadczyć o tym może fakt, iż Piotr Carey był całkowicie ubrany, mimo że zbrodni dokonano o godzinie drugiej w nocy. Ponadto na stole stała butelka rumu i dwie szklanki.

— Tak — odparł Holmes. — Sądzę, że oba wnioski przypuszczalnie są trafne. Czy w pokoju znajdował się oprócz rumu jeszcze inny trunek?



— Owszem. Zauważyłem nadto brandy i whisky, stojące na marynarskiej skrzyni. Nie posiada to jednak dla nas większego znaczenia. Karafki były przecież pełne, a więc nie użyto ich.

— Mimo to — zwrócił uwagę Holmes — obecność ich ma pewne znaczenie. Słuchamy jednak dalej... zwłaszcza o tych przedmiotach, które, zdaniem pana, mają jakiś związek z wypadkiem.

— Na stole znalazłem ten właśnie kapciuch.

— Gdzie leżał?

— Na samym środku stołu. Zrobiono go z nie wyprawionej skóry foki o krótkim włosiu. Do zawiązywania woreczka służy skórzany rzemień, a na wewnętrznej stronie klapki kapciucha widnieją litery P.C. Woreczek zawierał pół uncji mocnego, marynarskiego tytoniu,

— Wspaniale! I cóż więcej?

Stanley Hopkins wyciągnął z kieszeni zniszczony, spłowiały notes. Na pierwszej stronie widać było inicjały J.H.N. i datę 1883 r. Holmes położył go na stole i dokładnie obejrzał, jak to zawsze zwykł czynić. My zaś Obaj z Hopkinsem patrzeliśmy spoza jego ramion. Drugą stronę pokrywało kilka zespołów cyfr. U góry natomiast odcinały się wyraźnie litery C.P.R. Na przeczucanych kartkach migają od czasu do czasu napisy, jak Argentyna, Costa Rica, San Paulo. Po każdym z nich następowały całe strony pełne znaków i liczb.

— Co pan o tym sądzi? — zapytał Holmes.

— Myślę, że są to wykazy giełdowych papierów Wartościowych. Prawdopodobnie J.H.N. stanowią inicjały maklera, a C.P.R. jego klienta...

— Na przykład Canadian Pacific Railway — wtrącił Holmes.

Stanley Hopkins stłumił przekleństwo i trzepnął się pięścią w udo,

— Cóż za dureń ze mnie! — zawołał. — Naturalnie, ma pan rację! Teraz tylko pozostają do rozszyfrowania inicjały J.H.N. Dawne ceduły giełdowe już sprawdziłem. Niestety, za 1883 rok nigdzie nie figuruje nazwisko zaczynające się od tych liter. Ani na giełdzie londyńskiej, ani u innych maklerów. Niemniej jednak uważam to za najważniejszy ślad, jaki posiadam.

Inicjały te mogą przecież należeć do tej drugiej osoby, która odwiedzała Wówczas kajutę. Innymi słowy — do mordercy. Zgodzi się pan chyba, Mr Holmes, iż wygląda to na całkiem prawdopodobne. Również włączenie do danych o przestępstwie dokumentu, informującego o znacznej ilości papierów wartościowych, ukazuje nam pierwsze wskazówki dotyczące motywu zbrodni. I przy tym będę obstawać.

Nowy obrót sprawy zaskoczył trochę Sherlocka Holmesa. Widać to było po jego minie.

— Muszę przyjąć oba pana dowodzenia powiedział. — Dotychczas przecież śledztwo nie obejmowało notesu. Przyznaję, zmieni to nieco poglądy, jakie sobie na sprawę wyrobiłem. Doszedłem bowiem do takiego wytłumaczenia zbrodni, w którym na notes nie ma miejsca. A czy próbował pan wyjaśnić zanotowane w nim papiery wartościowe?

— Tak. Prowadzimy poszukiwania w różnych urzędach. Obawiam się jednak, iż kompletne wykazy akcjonariuszy wymienionych koncernów południowoamerykańskich znajdują się jedynie na drugiej półkuli. I z pewnością potrwa kilka tygodni, nim zdobędziemy wyczerpujące informacje o tych akcjach.

Holmes tymczasem przyglądał się uważnie przez szkło powiększające oprawce notesu.. — Niech pan spojrzysz na tę plamę — powiedział wreszcie.

— Tak, sir, to od krwi. Jak już panu wspominałem, notes ten podniosłem z podłogi.

— Czy krew była na wierzchu, czy pod spodem?

— Na tej stronie, która przylegała do desek podłogi.

— Wynika z tego, iż notes spadł na ziemię dopiero po dokonaniu zbrodni.

— Tak, Mr Holmes. Jestem tego samego zdania Morderca strącił go z pewnością w trakcie ucieczki. Notes leżał blisko drzwi.

— Przypuszczalnie żadnej z akcji koncernów amerykańskich nie znaleziono wśród dobytku zamordowanego kapitana?

— Nie, sir.

— Czy są jakieś poszlaki wskazujące rabunek?

— Nie, sir. Wydaje się, iż niczego tam nie ruszano.

— Mój drogi! To z całą pewnością bardzo interesujący wypadek. A czy nie spostrzegł pan tam noża?

— Owszem, widziałem nóż, ale nie wyciągnięty z pochwy. Leżał u stóp zabitego. Pani Carey rozpoznała go jako własność jej męża.

Holmes zamyślił się.

— No, dobrze — powiedział w końcu. — Pójdę tam i obejrzę wszystko.

Stanley Hopkins krzyknął radośnie:

— Dziękuję, sir! Spadł mi ciężar z serca.

Holmes pogroził palcem inspektorowi.

— Tydzień temu zadanie to było niewątpliwie łatwiejsze do rozwiązania — powiedział. — Ale i teraz moja wizyta może dać jeszcze jakieś wyniki. Watsonie, jeśli pozwoli ci czas,

bardzo będę rad z twojego towarzystwa. Skoro sprowadzi pan dorożkę, Mr Hopkins, to w ciągu kwadransa powinniśmy być gotowi do wyjazdu do Forest Row.

Wysiedliśmy przy niewielkich zabudowaniach położonych tuż przy drodze. Następnie posuwaliśmy się kilka mil mocno przerzedzonym lasem. Były to szczątki ogromnej puszczy, która niegdyś od strony zatoki przez długi czas powstrzymywała pochód najeźdźców saskich w głąb kraju. Zagradzając przejście, stanowiła przez 60 lat przedmurze Brytanii. Niestety, olbrzymie jej połacie wycięto w okresie, gdy na jej obszarze zaczęto uruchamiać pierwsze w kraju huty żelaza. Potrzeba było wtedy dużo drzewa do wytopu rudy. Obecnie terenem działalności hutnictwa są bogate złoża na północy. Tutaj natomiast, jedyną pozostałością z tego okresu są przetrzebione lasy i ogromne doły. Otóż w tych stronach, na ogołoconym z drzew, zielonym stoku pagórka stał długi a niski, zbudowany z kamienia dom. Prowadziła ku niemu wijąca się wśród pól ścieżka. Bliżej drogi, ukryty wśród zarośli, stał drugi mniejszy domek. Z miejsca, na którym staliśmy, widać było jego drzwi i jedno okno. Oto właśnie scena, na której dokonano zbrodni.

Stanley Hopkins prowadził. Weszliśmy z nim do domu. Tam przedstawił nas siwej, wynędzniałej kobiecie, wdowie po zamordowanym. Mizerna jej twarz i błyski przerażenia, zapalające się chwilami w głębi zaczerwienionych oczu, mówiły dobitnie o latach udręki, jakiej doświadczała.

Zastaliśmy również córkę, bladą, jasnowłosą pannę. Cieszyła się ze śmierci ojca. Błogosławiła nawet rękę, która go zabiła. Gdy to mówiła, oczy jej płonęły. W tym zuchwałym spojrzeniu było coś tragicznego, co przejmowało do głębi. Cała atmosfera, jaką wytworzył Czarny Piotr Carey w swym

otoczeniu i domu, wywoływała przygnębiający nastrój. Odetchnęliśmy z ulgą dopiero wówczas, gdy znaleźliśmy się na dworze. Słońce oślepiało, topiąc wszystko w blasku swych promieni. Droga nasza wiodła teraz poprzez pole ścieżką wydeptaną przez zabitego.

Chatka stanowiła mieszkanie bardzo prostej konstrukcji. Drewniane ściany, pojedynczy pułap oraz dwa okna: przy drzwiach i na bocznej ścianie.

Stanley Hopkins wyjął klucz z kieszeni i włożył do zamka. W tej samej jednak chwili znieruchomiał. Uważnie spojrzął na drzwi, przy czym twarz jego zdradzała wyraźne zaskoczenie.

— Oho! Ktoś tu manipulował przy zamku — powiedział.

Nie mogło tu być żadnej wątpliwości. Drzewo było pocięte, a głębokie rysy przeświecały bielą poprzez farbę. Wyglądały na zupełnie świeże, jakby dopiero przed chwilą je zrobiono.

Holmes dokładnie obejrzał okno.

— Również i okno chciał ktoś siłą otworzyć. Jednak mu się nie udało. Widocznie lichy włamywacz.

— To nadzwyczajne! — zawołał inspektor. — Wczoraj wieczorem nie było żadnych śladów. Mógłbym przysiąc!

— Może był to jakiś ciekawski ze wsi? — podsunąłem.

— Ech! Bardzo wątpliwe! Niewielu z nich odważyłoby się wejść w obręb posiadłości, a cóż dopiero włamywać się do „kajuty”. Co pan o tym sądzi, Mr Holmes?

— Myślę, iż los jest dla nas bardzo łaskawy.

— Spodziewa się pan jego powrotu?

— To bardzo prawdopodobne. Przyszedł, spodziewając się zastać drzwi otwarte. Spróbował otworzyć drzwi ostrzem małego scyzoryka. Nie udało się! Cóż więc ma dalej czynić?

— Przyjdzie ponownie z lepszym już narzędziem.

— I ja tak myślę. Byłoby błędem nie do darowania z naszej strony, gdybyśmy go nie ujęli. Teraz jednak chciałbym szczegółowo obejrzeć wewnątrz „kajuty”.

Usunięto już ślady tragicznego morderstwa, ale urządzenia i umeblowanie małej izdebki nie ruszono od chwili dokonania zbrodni. Holmes oglądał z wielką uwagą po kolei każdy przedmiot. Twarz jego nie wskazywała jednak na to, by poszukiwania mogły dać jakikolwiek wynik. Systematycznie i drobiazgowo szperał po wszystkich zakątkach, tak że niechyba nie mogło ujść jego uwadze.

— Czy brał pan coś z tej półki, Mr Hopkins?

— Nie, niczego nie ruszałem.

— Coś jednak zniknęło. W jednym rogu półki jest mniej kurzu niż gdzie indziej. Mogła to być książka, mogło być również jakieś pudło. No, tak! Moja praca już skończona. Chodźmy, Watsonie, odpocząć w cieniu drzew; Poświęćmy kilka godzin ptakom i kwiatom. Później spotkamy się znowu, Mr Hopkins. Wtedy zobaczymy, czy uda nam się zawrzeć bliższą znajomość z dżentelmenem, który składał tu nocną wizytę.

Wybiła już godzina jedenasta w nocy, kiedy przygotowaliśmy zasadzkę. Hopkins chciał zostawić drzwi chatki otwarte, Holmes jednak był zdania, iż mogłoby to wzbudzić podejrzenie przybysza. Każdy bez trudu otworzy przecież ten nieskomplikowany zamek. Wystarczy mocne ostrze. Holmes ponadto doradzał czekać nie wewnątrz domku, lecz w pobliżu, wśród krzaków, które rosły za oknem wychodzącym na szosę.

Przypuśćmy, że przyjdzie ów tajemniczy, nocny gość. Otworzy drzwi, zapali światło i... Wówczas będziemy mogli śledzić każdy jego ruch. W rezultacie zaś przekonamy się o celu jego nocnej „wizyty”. Nieznośnie długie godziny przeciągały się w

nieskończoność. Wyczekiwanie, to piekielnie nudne zajęcie. Tym razem miało ono jednak posmak polowania. A wiadomo, że myśliwemu czyhającemu u wodopoju na dzikiego zwierza raczej się nie nudzi. Ciekawe, któż to wyłoni się z ciemności... Tygrys czy szakal zbrodni? Trudno ująć zwinnego i szybkiego jak błyskawica tygrysa o ostrych kłach i pazurach. Tchórzliwy szakal natomiast może przestraszyć jedynie bezbronnych słabych... Kto zjawi się lada chwila?

Siedzieliśmy przyczajeni wśród krzaków, milczący i nieruchomi. Czekaliśmy na nieznajomego przybysza. Początkowo oczekiwanie to urozmaicały kroki spóźnionych przechodniów lub odgłosy dochodzące ze wsi. Stopniowo jednak i one zamierały. Wreszcie zapanowała całkowita cisza. Od czasu do czasu przerywał ją tylko kurant z odległego kościoła. Nad nami szeleściły krople deszczu wśród listowia drzew.

Zegar wybił pół do trzeciej. Nadeszła najciemniejsza godzina przed świtem. Nagle poderwał nas zupełnie wyraźny chrzęst dochodzący od bramy. Ktoś zbliżał się drogą prowadzącą ku domowi. Po chwili znów wszystko umilkło. Trwało to dosyć długo. Poczuliśmy obawiać się, iż był to fałszywy alarm. Wtem usłyszeliśmy podejrzany szelest. Ktoś skradał się bardzo ostrożnie z drugiej strony „kajuty”. Po chwili zachrobotało, zachręściło, jakby ktoś skrobał metalem o metal. To nieznajomy przybysz próbował otworzyć drzwi. Tym razem robił to znacznie wprawniej, miał lepsze narzędzia. Wtem ciszę rozdarł nagły trzask i skrzypienie zawiasów otwieranych drzwi. Błysnęła zapałka. Po chwili światło kaganka wypełniło wnętrze domku. Poprzez przejrzystą firankę z gazy obserwowaliśmy rozgrywającą się wewnątrz scenę.

Nocnym gościem okazał się młody mężczyzna, szczupły i wątłej budowy. Czarny wąs ostro się odcinał od trupiobladej twarzy. Miał co najwyżej dwadzieścia lat. Nigdy nie trafiło mi się widzieć człowieka, który by okazywał tak godny politowania strach. Głowa mu się trzęsła, a ręce i nogi drżały. Ubrany był jak dżentelmen. Żakiet norfolcki, wąskie spodnie, czapka z sukna. Wodził po izbie przerażonym wzrokiem. W końcu postawił kaganek na stole i zniknął nam z oczu w jakimś kącie. Wkrótce ukazał się znowu z wielką księgą pod pachą. Z pewnością to jeden z dzienników okrętowych, stojących rzędem na półce. Pochylił się nad stołem i jął szybko przerzucać strony dziennika. Wreszcie znalazł miejsce, którego szukał, i zatrzymał się. Wtedy ze złością machnął ręką i zamknął księgę. Położył na dawnym miejscu i zgasił światło. Ledwo skierował się ku drzwiom domku, a już Hopkins chwycił go za kołnierz. Słyszałem wszystko dokładnie. Jeniec dyszał głośno ze strachu i zaskoczenia, drżał i kulił się w rękach inspektora. Zorientował się, iż wpadł w pułapkę. Wreszcie opadł bezwładnie na skrzynię marynarską. Wodził po nas bezradnym wzrokiem.

— A teraz, mój drogi — powiedział Stanley Hopkins — mów, kim pan właściwie jesteś? Czego szukasz?

Przybysz usiłował opanować się i skupić. Wreszcie spojrzał na nas nieco spokojniej.

— Panowie jesteście, zdaje się, z policji — wykrztusił w końcu — i przypuszczacie prawdopodobnie, iż moja osoba ma jakiś związek ze śmiercią kapitana Piotra Careya? Jestem niewinny. Zapewniam panów.

— To się jeszcze sprawdzi — odparł Hopkins. — Zaczniemy jednak od początku. Nazwisko pana?

— John Hopley Neligan.



W tym momencie zauważyłem, jak Holmes i Hopkins wymienili ze sobą szybkie spojrzenie.

— Co pan tu robił?

— Czy mogę nie odpowiedzieć na to pytanie?

— Nie! Stanowczo nie!

— Dlaczego mam panu odpowiedzieć?

— Jeżeli pan nie odpowie, to dochodzenie i rozprawa może przybrać niekorzystny dla pana obrót.

Młody człowiek wahał się przez chwilę.

— Dobrze, powiem panu — rzekł w końcu. — Dlaczego by nie? Wzdrygam się jednak na samą myśl o tym przestępstwie. Brr... Wywlekać to na nowo... Czy słyszał pan o firmie „Dawson and Neligan”?

Po minie Hopkinsa poznałem, że nigdy nie słyszał. Natomiast Holmes okazał żywe zainteresowanie tematem.

— Pan ma na myśli bankierów z West Country? — podchwycił. — Zbankrutowali. Straty wyniosły 1 000 000 funtów szterlingów. Zrujnowali połowę zamożnych rodzin Kornwalii. A Neligan zniknął.

— Tak. Neligan był moim ojcem.

Wreszcie jakaś konkretna wiadomość. To nawet mogło stanowić punkt oparcia. Zbiegły bankier i kapitan Carey przybity do ściany jednym ze swych harpunów — to ludzie dwu zupełnie odrębnych światów. Dzieląca ich przepaść rzucała się w oczy. Wszyscy czekaliśmy w napięciu na dalsze słowa młodego człowieka.

— To właśnie chodziło o mojego ojca. Dawson wycofał się. Miałem wtedy dopiero dziesięć lat, lecz rozwinięty byłem nad wiek i orientowałem się w sytuacji. Byłem do głębi wstrząśnięty i palił mnie okropny wstyd. Zewsząd słyszałem, iż ojciec ukradł wszystkie papiery wartościowe, i uciekł. To

nieprawda! Gdyby tylko miał czas na upłynnienie swych aktywów, wtedy wszystko ułożyłoby się dobrze! Spłaciłby wszystkich wierzycieli co do grosza. Och! Ojciec był o tym głęboko przekonany.

Wyjechał w podróż do Norwegii na pokładzie swego niewielkiego jachtu, jeszcze zanim wydano nakaz aresztowania. Ta ostatnia, pożegnalna noc przed wyjazdem dokładnie wyryła mi się w pamięci. Zostawił nam szczegółowy spis papierów wartościowych, które zabierał ze sobą.

Przysiągł wtedy uroczyście, iż powróci skoro tylko odzyska dobre imię i nikt z tych, co mu zawierzyli, nie dozna żadnej straty. Gdy jednak wyjechał, wszelki ślad po nim zaginął.

Zniknął i ojciec, i jacht. A my z matką byliśmy przekonani, iż spoczywa on na dnie morza wraz ze statkiem i papierami wartościowymi, jakie zabrał ze sobą. Aż tu nagle nasz oddany przyjaciel — człowiek interesu — przyniósł nam niedawno ciekawą wiadomość. Podobno na rynku londyńskim pojawiły się znów pewne serie akcji, które miał przy sobie mój ojciec. Może pan sobie wyobrazić nasze zdumienie. Począłem pilnie śledzić te akcje. Zajęło mi to kilka miesięcy. Lecz w końcu ustaliłem niezbitcie, kto pierwszy puścił je w obieg. Kosztowało to wiele trudu i mozołu. Otóż osobą tą okazał się kapitan Piotr Carey, właściciel tego domku.

Przeprowadziłem oczywiście mały wywiad dotyczący tego człowieka. I cóż się okazało? Dowodził on statkiem wielorybniczym, który powracał z Oceanu Arktycznego właśnie w tym czasie, kiedy mój ojciec płynął do Norwegii. Jesień tego roku była burzliwa. Dęły silne wiatry południowe, co trwało dłuższy czas. Mogły one zepchnąć na północ żaglowy jacht mego ojca. A tam prawdopodobnie napotkał on statek kapitana Piotra Careya. Jeśli rzeczywiście tak potoczyły

się wypadki, to cóż stało się z moim ojcem? W każdym razie warto było wykazać, w jaki sposób papiery te trafiły na giełdę, zaś udowodnić to mogłem tylko na podstawie oświadczenia Careya. Wówczas bowiem okazałoby się, iż mój ojciec nie sprzedał tych akcji i że zabierając je z sobą, nie miał na celu żadnych osobistych korzyści materialnych.

Przybyłem do Sussex z zamiarem porozmawiania z kapitanem. W międzyczasie jednak spotkała go śmierć. W sprawozdaniu z dochodzenia policyjnego przeczytałem opis jego „kajuty”. Wspomniano też o przechowywanych tam starych dziennikach okrętowych statku, na którym pływał. Wpadłem wówczas na pewien pomysł. A jeśli by tak sprawdzić, co zaszło w sierpniu 1883 r. na pokładzie „Sea Unicorn”?! Prawdopodobnie mógłbym wówczas rozwikłać zagadkę tajemniczego zniknięcia mego ojca. Spróbowałem ubiegłej nocy dostać się do tych dzienników. Niestety, nie zdołałem otworzyć drzwi. Tej nocy ponowiłem próbę i udało się. Jednak strony dziennika, dotyczące tego miesiąca, ktoś już wydarł. W trakcie poszukiwań wpadłem w wasze ręce.

— To wszystko? — zapytał Hopkins.

— Tak, wszystko — odrzekł, unikając naszego wzroku.

— I nie ma pan nic więcej do powiedzenia?

Zawahał się...

— Nie!

— Nie był pan tu wcześniej niż onegdaj?

— Nie!

— A co to znaczy?! — krzyknął nagle Hopkins, pokazując nieszczęsny notes z inicjałami naszego więźnia, widocznymi, na pierwszej kartce, i z plamą krwi na okładce.

Biedny człowiek! Załamał, się zupełnie. Ukrył twarz w dłoniach i drżał na całym ciele.

— Skąd pan to ma? — jęknął wreszcie. — Ja nic nie wiem...  
Chyba zgubiłem go w hotelu.

— To wystarczy! — przerwał twardo Hopkins. — Cokolwiek  
więcej ma pan do zakomunikowania, powie pan już w sądzie.  
A teraz pójdzie pan ze mną na posterunek policji. Mr Holmes,  
jestem panu bardzo zobowiązany za pomoc, jak również i  
pańskiemu przyjacielowi. Co prawda wasza obecność, jak się  
okazuje, nie była konieczna. Rozwiązałem sprawę bez pana  
pomocy. Niemniej jednak jestem za nią bardzo wdzięczny. W  
hotelu „Brambletye” zarezerwowano pokoje dla panów.  
Możecie więc udać się tam razem.

— No cóż, Watsonie? Co myślisz o tym? — spytał Holmes, gdy  
nazajutrz wracaliśmy.

— Nie jesteś, zdaje się, zadowolony?!

— Ależ nie, mój drogi Watsonie! Jestem zupełnie  
zadowolony. Nie pochwalam tylko metod Stanleya Hopkinsa.  
Zawiódł mnie. Spodziewałem się po nim czegoś więcej.  
Trzeba przecież zawsze jeszcze szukać innych możliwości  
rozwiązania sprawy oprócz tej, która nam się wydaje Słuszna!  
To naczelna zasada dochodzeń kryminalnych.

— A czy jest jakaś inna możliwość w naszym przypadku?

— Kierunek dochodzenia, który realizuję. Może on nam nic  
nie da. Trudno przewidzieć. Tym niemniej trzeba jednak iść  
nim do końca.

Na Holmesa czekało przy Baker Street kilka listów. Chwycił  
jeden z nich i otworzył. Wybuchnął triumfującym śmiechem.

— Wspaniale, Watsonie! Moja alternatywa rozwija się!  
Czy masz blankiety telegraficzne? Napisz za mnie dwa  
zawiadomienia. Pierwsze do agenta okrętowego:

Sumner Shipping Agent, Ratcliff Highway

Przyślij trzech ludzi jutro godzina 10 rano — BASIL.

— W tych kołach używam tego nazwiska. Drugi telegram brzmi:

Inspektor Stanley Hopkins, 46, Lord Street, Brixton.  
Przyjdź na śniadanie jutro o godz. 9.30. Ważne.  
Zadepesuj, jeśli byś nie mógł — SHERLOCK HOLMES.

— Ta piekielna sprawa pochłonęła mi dziesięć dni. Zatraciłem się w niej bez reszty. Jutro, mam nadzieję, usłyszymy o niej po raz ostatni.

Inspektor Stanley Hopkins stawiał się punktualnie o oznaczonej godzinie. Zasiadliśmy razem do wyborowego śniadania, przygotowanego przez panią Hudson. Młody detektyw był we wspaniałym humorze. Przeżywał swój sukces.

— Czy pan istotnie sądzi, iż pańskie rozwiązanie jest poprawne? — zagadnął Holmes.

— Trudno sobie wyobrazić bardziej prawidłowy przypadek.

— Nie jestem tego pewien.

— Pan mnie zdumiewa, Mr Holmes. Cóż jeszcze miałbym zbadać?

— Czy pańskie tłumaczenie wyjaśnia wszystkie okoliczności zbrodni?

— Ustaliłem, iż młody Neligan przybył do hotelu „Brambleyte” w dniu dokonania zbrodni. Przybył tam pod pretekstem gry w golfa. Pokój otrzymał na parterze. Mógł więc wyjść nie zauważony, kiedy miał ochotę. Krytycznej nocy udał się do Woodman’s Lee. Spotkał się z Piotrem Careym w „kajucie”. Wdał się z nim w kłótnię i zabił harpunem.

Wówczas przeraził się swego czynu i uciekł z domku, gubiąc

notes, który uprzednio przyniósł ze sobą, aby zapytać Piotra Careya o różne papiery wartościowe. Niektóre z nich jak pan pewnie spostrzegł, były poznaczone spinaczami; było ich mniej niż innych. Akcje wyróżnione — były to wyśledzone na giełdzie londyńskiej. Pozostałe natomiast znajdowały się prawdopodobnie nadal w posiadaniu Careya. Młodemu Neliganowi chodziło o odzyskanie ich ze względu na wierzycieli ojca; chciał im je zwrócić. To jego własne zeznania. Uciekły, nie miał śmiałości powrócić ponownie do „kajuty”. Wreszcie jednak przemógł się, pchany nieprzepartą chęcią zdobycia potrzebnych mu informacji. Czyż nie jest to proste i oczywiste?

Holmes uśmiechnął się tylko i potrząsnął przecząco głową. — To zupełnie niemożliwe! Oto przykład mylnego rozumowania. Tak mnie się przynajmniej wydaje, Mr Hopkins! Czy próbował pan przebić ciało harpunem? Nie? No, no, mój drogi, musi pan zwracać więcej uwagi na tego rodzaju szczegóły. Mój przyjaciel Watson może panu powiedzieć, jak to cały rano spędzałem na takich ćwiczeniach. To wcale niełatwa sprawa! Trzeba do tego mocnej i wyćwiczonej ręki. A w dodatku ten cios zadano z wielką siłą i gwałtownością. Ostrze zaś wbiło się głęboko w ścianę. Czy pan może sobie wyobrazić tego anemicznego młodzieńca zadającego cios o tak potwornej sile? Czy to on był tym, który chlał rum z wodą razem z Czarnym Piotrem w noc śmierci? Czy to jego profil zauważono na tle firanki dwie noce przed wypadkiem? Nie, Mr Hopkins! Nie! Musimy poszukać innego, roślejszego i silniejszego mężczyzny.

W miarę przemowy Holmesa oblicze detektywa coraz bardziej się wydłużało. Jego nadzieje i ambicje rozpadły się jak domek z kart. Nie chciał jednak ustąpić bez walki.

— Ależ nie może pan zaprzeczyć, Mr Holmes, iż Neligan był tej nocy u Czarnego Piotra. Zapomniał pan o notesie! To dowód rzeczowy! Sądzę zresztą, że posiadam wystarczającą ilość argumentów, aby sprawę przekazać sądowi przysięgłych i to nawet wtedy, jeśli potrafi pan znaleźć w nich jakąś lukę. Poza tym ja ująłem tego, kogo podejrzewam, a gdzie jest pański morderca?

— Zdaje się, że w tej chwili idzie po schodach — odparł pogodnie Holmes. — Tobie zaś, Watsonie, radzę trzymać rewolwer w pogotowiu, byś mógł go szybko użyć.

Rzekłszy to Holmes wstał, podszedł do stolika i położył na nim zapisaną kartkę papieru.

— No, teraz jesteśmy gotowi — rzekł.

W chwilę później usłyszeliśmy z głębi domu jakieś tubalne głosy. Drzwi się otwały i weszła pani Hudson, oświadczając, że jakichś trzech mężczyzn chce się widzieć z kapitanem Basilem.

— Proszę wpuszczać ich pojedynczo — polecił Holmes.

Pierwszym, który wszedł, był mężczyzna niewielkiego wzrostu o czerstwym wyglądzie i siwych bokobrodach. Holmes wyjął z kieszeni list i spytał:

— Nazwisko?

— James Laneaster.

— Bardzo mi przykro, Laneaster, ale mam już komplet. Macie tu za fatygę pół funta, a teraz idźcie do tego pokoju obok i poczekajcie tam kilka minut.

Następnym był osobnik wysoki i chudy o bladej twarzy i długich włosach. Nazwisko jego brzmiało Hugh Pattins. On również otrzymał odprawę: pół funta i polecenie, by zaczekał. Trzeci kandydat zwrócił od razu moją uwagę swoim nieprzeciętnym wyglądem. Groźna twarz, przypominająca

buldoga, czarne śmiało patrzące oczy, szerokie krzaczaste brwi i gęsta broda były cechami charakterystycznymi tego potężnie zbudowanego osobnika. Wszedł kołyszającym się krokiem marynarza, zasalutował, zdjął czapkę i mnąc ją w rękach czekał.

— Wasze nazwisko? — spytał Holmes.

— Patrick Cairns.

— Harpunnik?

— Tak sir. 28 rejsów.

— Z Dundee, przypuszczam?

— Tak, sir.

— Gotowi jesteście do wyjazdu na morze z wyprawą badawczą?

— Tak, sir.

— Jaka płaca?

— 8 funtów miesięcznie.

— Możecie natychmiast, wyruszyć?

— Tak, jak tylko otrzymam ekwipunek.

— Czy macie przy sobie papiery?

— Tak sir — odrzekł, po czym wyjął z kieszeni plik mocno zatłuszczonych i zniszczonych papierów!

Holmes wziął je, pobieżnie przejrzał i zwracając je harpunnikowi rzekł:

— Jesteście tym, którego potrzebuję. Tam na stole leży umowa. Podpiszcie ją i sprawa będzie załatwiona.

Marynarz przeszedł przez pokój i wziął pióro do ręki.

— Czy tu mam podpisać sir? — zapytał pochylając się nad stołem. Holmes schylił się nad nim i przerzucił ręce po obu stronach jego szyi.

— W porządku — powiedział.



Niemal jednocześnie usłyszałem szcęk stali i okrzyk wściekłości podobny do ryku rozjuszonego byka. Był to jeden moment, a już Holmes wraz z marynarzem kotłowali się po podłodze w morderczym uścisku. Marynarz okazał się nie lada siłaczem. Nawet z kajdankami, które Holmes zręcznie założył mu na przeguby dłoni, szybko by pokonał mojego przyjaciela, gdybyśmy wraz z Hopkinsem nie pospieszyli mu na ratunek. Przyłożyłem siłaczowi zimną lufę rewolweru do skroni. Dopiero wtedy zrozumiał, iż dalszy opór jest bezcelowy. Wówczas skrępowaliśmy mu sznurem nogi w kostkach. Gdy wreszcie podnieśliśmy się po stoczony walce, długo jeszcze brakło nam tchu:

— Bardzo przepraszam, Mr Hopkins — rzekł Holmes — ale... obawiam się, iż jajecznicca zupełnie już wystygła. Niemniej reszta śniadania będzie panu lepiej smakowała. Zakończenie bowiem sprawy sukcesem znakomicie poprawia apetyt. Stanley Hopkins milczał. Wzrokiem pełnym podziwu wpatrywał się w Holmesa.

— Doprawdy brak mi słów, Mr Holmes — wyjąkał wreszcie, oszołomiony i czerwony jak burak. — Widzę, iż od samego początku obrałem zły kierunek, mylny trop. Pan pokazał się mistrzem w tych sprawach, ja zaś nie mam takiego doświadczenia. Nadal nie rozumiem, co to wszystko znaczy? Co prawda widziałem finał, nie wiem jednak, jak pan do tego doszedł?

— Nic to, nic — śmiał się Holmes. — Wszyscy ostatecznie uczymy się na doświadczeniach. Z tego zaś przypadku wypływa dla pana słuszny wniosek: nigdy nie można tracić z oczu drugiej możliwości w toku śledztwa. Pan zajął się bez reszty młodym Neliganem. Ta sprawa pana całkowicie

pochłonęła i zaślepiła do tego stopnia, że przysłoniła niejako Patricka Cairnsa, rzeczywistego mordercę Piotra Careya. W tym momencie skrępowany marynarz wtrącił się do naszej rozmowy:

— Nie skarżę się na sposób, w jaki zostałem potraktowany. Sam pan widzi. Ale domagam się, aby ujmował pan sprawę z właściwego punktu widzenia. Podkreślam, iż nie zamordowałem Piotra Careya. Ja go tylko unieszkodliwiłem. Otóż i cała różnica. Być może, nie wierzy pan moim słowom? Prawdopodobnie myśli pan, iż go próbuję oszukać?

— Nic podobnego! — odrzekł Holmes. — Przeciwnie, bardzo chętnie posłuchamy. Co więc macie do powiedzenia?

— Jak już wspomniałem, wszystko to szczerą prawdą. Przysięgam! Och, znałem ja dobrze Czarnego Piotra! Kiedy chwycił za nóż, wiedziałem, iż nie mam żadnego wyboru. Stawką było życie: jego lub moje. Wówczas cisnąłem węń harpunem. Tak zginął. Może pan to nazwać morderstwem. W każdym razie wolę umierać z powrozem na szyi, niż z nożem Czarnego Piotra w sercu.

— A dlaczego tam w ogóle poszliście? — spytał Holmes.

— Zacznę od początku. Wpierw jednak, panowie, pomóżcie mi usiąść, bym mógł łatwiej mówić. Stało się to w sierpniu 1883 roku. Piotr Carey był kapitanem „Sea Unicorn”, ja zaś rezerwowym harpunnikiem. Wracaliśmy właśnie do domu po trudnym przedarciu się poprzez pola lodowe, gdy natrafiliśmy na przeciwny wiatr południowy. Dął przez cały tydzień.

Prawdopodobnie zepchnął on ku północy mały żaglowiec, który wtedy spotkaliśmy. Na jego pokładzie, znajdował się jeden jedyny człowiek, szczur lądowy. Załoga, obawiając się rozbicia statku, uciekła na szalupie ku brzegom Norwegii.

Chyba wszyscy utonęli! Wzięliśmy tego człowieka na pokład.

Rozmawiał on długo z szyprem w kapitańskiej kajucie. Przenieśliśmy także jego bagaż. Było tego niewiele: jedno płaskie pudło. O ile dobrze pamiętam, nigdy nie podano nazwiska tego człowieka. Następnej jednak nocy wszelki ślad po nim zaginął. Snuto na ten temat różne przypuszczenia: może wyskoczył za burtę, a może fala zmyła go z pokładu? Bo rzeczywiście mieliśmy wówczas fatalną, sztormową pogodę. Tylko jedna osoba z załogi wiedziała, co się stało z tym człowiekiem, a tą osobą byłem ja. Widziałem wszystko na własne oczy. Szyper wyrzucił go po prostu do morza podczas drugiej wachty. Noc była ciemna. Stało się to dwa dni przed tym, zanim ujrzeliśmy światła Szetlandii.

No tak. Nie dałem po sobie poznać, że coś wiem o losie rozbitka. Czekałem cierpliwie, jaki obrót wezmą sprawy. Niebawem zawinęliśmy do jednego z portów Szkocji. Tam wszystko zatuszowano. Nikt się nie interesował nieznajomym, który przypadkowo zginął. Cóż to mogło kogo obchodzić! Krótco po tym Piotr Carey pożegnał morze i więcej doń nie wrócił. Przez długie lata nie mogłem go odnaleźć. Cóż mogło być w tajemniczym pudle rozbitka? Chyba jakieś skarby. Aby je zdobyć, Carey popełnił morderstwo. Mógł mi więc teraz sownie zapłacić za milczenie.

Pewnego razu spotkałem w Londynie kolegę, marynarza. On to pomógł mi odszukać Czarnego Piotra. Odwiedziłem go nocą. Chciałem wymusić na nim większą sumę. Za pierwszym razem okazał rozsądek; zdecydował się dać mi tyle, abym mógł rzucić morze i urządzić się na lądzie. Wszystko ustaliliśmy. Należność miałem otrzymać za dwa dni, oczywiście nocą. Stawiłem się na spotkanie w „kajucie”. Był już prawie pijany. Wściekłość w nim wzbierała. Zasiadliśmy do picia. Z tęsknotą wspominaliśmy dawne czasy. Im więcej

jednak pił, tym mniej mi się podobał wyraz jego twarzy. W pewnej chwili zdjąłem ze ściany harpun. Myślałem, że będzie mi potrzebny do obrony. Wówczas rzucił się na mnie z krzykiem i przekleństwem. Mord czał się w jego oczach. Już wyciągał nóż z pochwy. Nie zdążył jednak. Przebiłem go harpunem. Wydał wówczas nieludzki ryk. Jego wykrzywiona twarz wciąż mi jeszcze stoi przed oczami. Znieruchomiłem na chwilę, zaś krew bluzgała wokół mnie. W okolicy panowała, niezmacona cisza. Wreszcie ocknąłem się. Nabrałem odwagi i rozejrzałem się po izdebce. Na półce spoczywało spokojnie płaskie pudło. Ostatecznie miałem do niego takie samo prawo, jak Piotr Carey! Zabrałem je i wyszedłem. W pośpiechu jednak zapomniałem zabrać mój kapciuch z tytoniem, który leżał na stole.

A teraz nastąpi najdziwniejsza część tej historii. Ledwo bowiem zdążyłem zamknąć drzwi, gdy usłyszałem czyjeś kroki. Ukryłem się wśród zarośli i obserwowałem. Jakiś człowiek skradał się w stronę domku. Wszedł do środka, lecz już w następnej chwili z krzykiem wypadł z powrotem i rzucił się do ucieczki. Nie zobaczyłem go więcej. Kto to był i czego chciał — nie potrafię powiedzieć. Ja zaś opuściłem czym prędzej to miejsce i udałem się w stronę stacji Tunbridge Wells, robiąc pieszo 10 mil drogi. Zdążyłem na pociąg i niebawem wysiadłem w Londynie. W ten sposób nikt nic o wypadku nie wiedział.

— Tak! Zbadałem zawartość pudła. Nie było w nim jednak pieniędzy, a jedynie akcje. Papierów wartościowych nie miałem odwagi sprzedawać. Tymczasem chodziłem po Londynie bez grosza. Wszystkie bowiem pieniądze straciłem na poszukiwanie Czarnego Piotra. Wtedy to dowiedziałem się, iż ktoś potrzebuje harpunników i proponuje dobrą płacę.

Zgłosiłem się do agencji okrętowej i skierowano mnie tutaj. To już wszystko. I jeszcze raz powtarzam: sąd powinien mi być wdzięczny za zgładzenie Czarnego Piotra. Zaoszczędziłem mu kosztów konopnego postronka.

— Jasne i wyraźne oświadczenie — odrzekł Holmes. Wstał i zapalił fajkę. — Cóż robić, Mr Hopkins! Chyba odstawi go pan, nie tracąc czasu, tam gdzie będzie bezpieczny. Ten pokój nie nadaje się na celę więzienną. Poza tym Mr Patrick Cairns zajmuje zbyt wiele miejsca na naszym dywanie.

— Mr Holmes — rzekł Hopkins — doprawdy nie wiem, jak mam panu dziękować. Dotychczas też nie mam pojęcia, w jaki sposób osiągnął pan taki rezultat?

— Po prostu łut szczęścia. Od początku wszedłem na właściwy trop. Ba! Gdybym od początku wiedział o notesie, to być może, obrałbym tę samą drogę co pan. Tymczasem wszystko, co widziałem, kierowało moje myśli tylko na jedną drogę. I trudno było się temu oprzeć. Zdziwiająca umiejętność posługiwania się harpunem, rum z wodą, fokowy kapciuch, zawierający grubo cięty tytoń, wszystko wskazywało na marynarza wielorybnika. Byłem przekonany, iż inicjały P.C. wygrawerowane na woreczku z tytoniem, pomimo pozornej zbieżności nie mają nic wspólnego z Piotrem Careyem. Przecież palił on bardzo rzadko. A w jego „kajucie” nie znaleziono nawet fajki.

— Pytałem, czy w „kajucie” były whisky i brandy. Pan powiedział, że były. Któż z nieobytych z morzem ludzi będzie pił rum, mając do wyboru inną wódkę? Czyli, że musiał to być marynarz.

— Ale jak pan go znalazł?

— To bardzo proste, mój drogi panie. Poszukiwanym mógł być tylko ktoś, kto pływał razem z Careyem na statku „Sea

Unicorn”. Sprawdziłem, że Czarny Piotr nie pływał na żadnym innym statku. Depeszowałem do Dundee. Straciłem na to 3 dni czasu, lecz ustaliłem wszystkie nazwiska załogi „Sea Unicorn” z 1883 roku. Gdy między harpunnikami znalazłem nazwisko Patricka Cairnsa, byłem już bliski końca poszukiwań. Przypuszczałem, iż człowiek ten przebywa w Londynie i niebawem spróbuje wyjechać z kraju. W związku z tym spędziłem kilka dni w dzielnicy East End. Dałem ogłoszenie o wyprawie arktycznej i wielkim polowaniu na wieloryby. Postawiłem świetne warunki dla harpunników, którzy zaciągną się pod dowództwo kapitana Basila. No i Otrzymałem wynik.

— Ależ to wspaniałe! — krzyknął entuzjastycznie Hopkins. — Wprost fenomenalne!

— Musi pan zatem jak najprędzej spowodować zwolnienie z aresztu młodego Neligana — rzekł Holmes. — Moim zdaniem, powinien go pan chyba przeprosić. Ponadto trzeba mu zwrócić płaskie pudło. Choć naturalnie akcje, sprzedane przez Careya, przepadły bezpowrotnie. Ale oto przyjechała dorożka, Mr Hopkins. Może już pan odstawić więźnia, Gdyby pan jeszcze mnie potrzebował w jakiejś sprawie, to obaj z Watsonem będziemy w Norwegii. Adres i bliższe szczegóły podam później.